

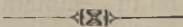


WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



STARSZA SIOSTRA.



Jak mi dobrze na świecie,
Zawsze jestem wesoła,
Wciąż z pogodą u' czoła,
Bo m szczęśliwa też przecie!

Kocham ojca i matkę,
Ziemie w kwiaty strojoną,
I rodziną ma'chatkę,
I tę łakę zieloną.

Kocham braci, siostrzyczki,
Które bawię i pieszczę,
Ona młode tak jeszcze,
Niby w pączkach różyczki.

Uśmiechnięte usteczka,
Oczki błyszczą jak złote.
Kiedy wstają z łóžeczka,
Na figielki, pustotę.

Ja ubieram je sama,
Pacierz mówię też razem,
Jak uczyła mię mama,
Przed Maryi obrazem.
I wyjmuję książeczki,
Co w szufladzie schowane,
Są tam wiersze, bajeczki,
Dla nas dzieci pisane.
Uczę drogie pieśniczki,
Praca idzie ochoczo,
Potem małe te trzpiotki,
Znów się śmieją, chichoczą.
Muszę pomódz matysi,
Choć siłami małemi,
Boć to smutno być musi,
Żyć bezczynnie na ziemi!

O sztucznem zimnie i o sztucznym lodzie.

skreślił

ST. KRAMSZTYK.

Wyda się to wam może rzeczą dziwną, że właśnie teraz, podczas zimy, mówić zamierzam o sztucznem sprowadzeniu zimna, jakby nam nie dosyć jeszcze było teraz zimno i jakbyśmy do silniejszych wzdychali chłodów. Ale przecież po zimie nastąpi lato, po mrozach upały, a wtedy na cukierniach ukazać się nęcące wzrok wasz napisy „lody”. Wyrób zaś lodów wymaga zimna, albo raczej oziębienia silnego, nie zawadzi więc dowiedzieć się i podczas zimy, jak w lecie można na zawołanie tworzyć zimno, a w razie potrzeby i lód otrzymywać.

Aby to zrozumieć, należy przedewszystkiem pamiętać, że zimno nie jest cześć od ciepła odrębnem, ale jest to tylko brak ciepła, niski stan jego; aby więc zimno wywołać, należy tylko ciepło usunąć, a do tego najłatwiej posłużyć może topienie.

Wiadomo to każdemu, że lód topi się, gdy posiada temperaturę 0° . Jeżeli termometr umieścimy w lodzie topniącym, dostrzeżemy, że rtęć stanie na zerze i wyżej się nie podniesie. Możemy naczynie to z lodem ogrzewać lampką, albo umieścić przy ogniu, — lód prędzej się stopi, ale dopóki wszystek nie zamieni się w wodę, dopóki go choć cokolwiek pozostanie, dopóty termometr zawsze stać będzie na zerze.

Bardziej nas jeszcze zjawisko to uderzy, gdy przy ogniu ustawimy jedno naczynie z wodą, drugie zaś z lodem, woda bowiem w naczyniu pierwszym będzie się wciąż ogrzewać, ale w drugim woda powstająca z lodu będzie zimna, choćby ogień był najsilniejszy. Woda ogrzewa się ciepłem ognia, zabiera ciepło, które on wydaje. Drugie naczynie znajduje się tuż obok, — czyż możemy powiedzieć, że pierwsze tylko zabiera ciepło, a drugie nie? Gdzież się więc podziewa to ciepło, które lód zabiera? Należy wniesić, że się ono ukrywa, utaja, bo przecież termometr wcale się nie podnosi; dla tego też nazwano to ciepło ciepłem ukrytem albo utajonem.

Nie znano wszakże długo powodu tego ukrywania się, tej straty ciepła; teraz pojmujemy, co tu zachodzi. Dla stopienia ciała stałego trzeba rozdzielić jego cząstki, pokonać spójność, która je w związku utrzymuje. Gdy tłuczemy cukier, gdy mielemy zboże, także rozrywamy związek cząstek, ale czynności te wymagają pracy. I na topienie przeto również wyłożyć trzeba pracę, a nawet większą daleko, bo tu spójność cząstek silniej jeszcze przezwyciężoną być musi. Pracy tej nie dokonywamy sami, ale wykonywa ją za nas ktoś inny, — ciepło mianowicie.

Może się wam to wydawać niedorzecznością, by ciepło pracować miało, by mogło się w pracę przeobrazić. Przy-

pomnijmy sobie wszakże tylko, jakato siła pędzi pociągi koleżelaznych i wprawia w ruch maszyny w fabrykach. Wiem, że odpowiecie mi na to — para; ale skądże para powstaje? Ciepło wytwarza parę w maszynach parowych, — ciepło też pokonywa spójność cząstek przy topieniu się ciał stałych. Ciepło przeto zużywa się na topienie lodu, a dlatego też lód topiąc się, nie może się ogrzewać. Przy silniejszym ogniu, wydającym więcej ciepła, lód prędzej się topi, ale przez cały czas topienia temperatura jego wynosić będzie zero, tak samo, jak w topniejącym wosku termometr zawsze okazywał będzie 68° , a w topniejącej stearynie zawsze 70° .

Można się nawet łatwo dowiedzieć, ile ciepła lód do swego stopienia wymaga. Napełnij naczynie funtem lodu; w pokoju niewątpliwie lód ten będzie posiadał temperaturę zera. Inne znów podobne naczynie napełnij wodą, również mającą temperaturę zera. Wodę zaś oziębić można do zera przez wrzucanie do niej lodu; otrzymać ją także możemy, jeżeli od śniegu topniejącego oddzielimy powstającą z niego wodę. Oba te naczynia ustawiamy przy jednakowym ogniu; woda będzie się ogrzewała, a lód topił. Oczekajmy, dopóki lód zupełnie się nie stopi. Wtedy termometr w tę wodę zanurzony okazywać będzie, jak już wiemy, temperaturę zera. Zobaczmy w tejże samej chwili, jaką temperaturę posiada woda w naczyniu drugim. Termometr wskaże nam 80° , — mówimy zaś tu zawsze o termometrze Celsiusa, który w wodzie wrzącej wskazuje 100° . Oba naczynia były przy tym samym ogniu przez czas jednakowy, zabrały więc jednakową ilość ciepła. A zatem lód potrzebuje do stopienia tyle ciepła, ile woda do ogrzania się o 80° rozumie się, że mówimy tu o takich samych ilościach lodu i wody.

Jeżeli lód znajduje się przy ogniu, to tej straty ciepła nie dostrzegamy. Ale co się dzieć będzie, jeżeli lód wnieśliemy do pokoju? Zaczyna się on topić, a że ciepła potrzebnego mu nie dostarczamy, zabiera je z całego otoczenia: powietrze i wszystkie rzeczy oziębiają się, pokój stygnie.

Lekarz polecił choremu głowę okładać lodem, a że lodu nie było, użyto bardzo zimnej wody. Pojmujemy wszak, że, że rezultat nie był jednakowy, woda bowiem zabiera tylko ciepło do swego ogrzania, lód zaś pochłania je najpierw by się zamienił w wodę, która dopiero dalej ogrzewać się może. Woda więc, choćby do zera oziębiona, nie może spowodować ochłodzenia tak znacznego, jak lód topniejący, chociaż od niej bynajmniej nie jest zimniejszy.

Zmieszajmy funt wody ogrzanej do 80° z funtem lodu topniejącego; skoro wszystek lód się stopi, otrzymamy dwa funty wody o temperaturze zera. Woda oziębiła się tu o 80° , oddała więc tyleż właśnie ciepła, ile potrzeba do stopienia funta lodu; do ogrzania przeto wody, przez stopienie utworzonej, nic już ciepła nie pozostało. Ale gdy funt lodu wysypiemy do funta wody wrzącej, mającej zatem temperaturę stu stopni, otrzymamy dwa funty wody o temperaturze 10° . Gdy znów dwa funty wody o temperaturze 40° zmieszamy z funtem lodu topniejącego, otrzymamy trzy funty wody o temperaturze zera, ale funt wody mającej temperaturę 40° z funtem lodu topniejącego wydają półtora funta wody i pół funta lodu. Kto zechce się przez chwilę zastanowić, łatwo to zrozumie.

Dowiedzieliśmy się zatem, że topienie może być przyczyną oziębiania, powodować może zimno; nietylko wszak przez topienie przeprowadzamy ciała stałe w stan ciekły. Gdy cukier lub sól rozpuszczamy w wodzie, cząstki tych ciał również rozbiegają się, rozchodzą po wodzie, można więc powiedzieć, że wtedy ciała te są już w stanie płynnym. Podobnie więc, jak do topienia, tak też i do rozpuszczania potrzeba ciepła, a skądże je bierze sól, cukier? Oczywiście zabierać je mogą jedynie w wodzie, w której się rozpuszcza; woda zatem winna stygnąć. Zwykle tego nie dostrzegamy, uważa jednak obserwacya nauczyla rzeczywiście, że przy rozpuszczaniu soli lub cukru w wodzie oziębianie takie zawsze następuje. Bardziej jeszcze, aniżeli sól i cukier, oziębia wodę sproszkowana saletra.

Zamiast sól rozpuszczać w wodzie, zmieszajmy ją ze śniegiem. Aby się sól rozpuścić mogła, część śniegu musi się stopić, a ciepło potrzebne do tego zabiera pozostałemu śniegowi, który się wskutek tego silnie oziębia. W wodzie tak utworzonej sól się rozpuszcza, ale do tego znów potrzebuje ciepła, pozostały więc śnieg jeszcze się bardziej oziębia.

(d. n).

LOSY ADASIA.

przez

Zofię Kowerską.

Marcin lubił bardzo dysponować, był dumny gdy czemś mógł kierować i gdy był w takiej roli zdawało się że rośnie, tak mu się ramiona wznosiły, a nos trochę zadarty bardziej zadartym się stawał. Miał siebie za pierwszego furmana na świecie, pogardzał fornalami, a miłość własna jego była zawsze połączona przyjemnie gdy pani Bodzińska wyznawała, że boi się nocnej jazdy z każdym innym furmanem niż z Marcinem. Gdy się Marcin znalazł w lesie z panną Zawrzecką i dziećmi wydawało mu się, że to on nie panna Zawrzecka odpowiedzialnym jest za wszystko i że to on dysponuje. Nauczycielka lubiąca Marcina, jak zresztą lubili go wszyscy uśmiechała się i pozwalała mu dyrygować.

— Bo to tak — mówił Marcin, kto nie umie piec kartofli to albo je spali, albo ich nie dopiecze, a najczęściej tak zrobi, że po wierzchu kartofel jest spalony a w środku surowy, Ha, ha, ha!

I śmiał się Marcin jak gdyby powiedział rzecz bardzo zabawną,

— A ja od dziecka nauczyłem się piec kartofle. Bywało pasiemy z bratem w nocy konie na łące i rozpalamy se ogień... Ee.. to drewno co panicz przyniósł to na nie! To trza suchych gałęzi! O, to co panna Marynia przyniosła to śliczności chrust!

Dzieci, Marcin, nawet panna Zawrzecka znosili suche gałęzie na jeden duży stos, który Marcin za pomocą zapalniczki i słomy wyciągniętej z siedzenia wozu zapalił. Buchnął płomień, a dzieci skakać zaczęły przyczem Marynia doznała wyrzutów sumienia, że się może radować gdy tam Adaś jest smutny i zmartwiony.

— Czy już przynosić kartofle? — zawołał Józio.

— O, to panicz w gorącej wodzie kąpany! Cały ten stos się spalić żeby się ziemia pod spodem zagrzała i żeby się zrobił popiół gorący, a jak włożymy kartofle...

Marcin wymówił ostatnie słowa takim tonem jakim mógłby wymówić Bertold Schwartz po uczynieniu wielkiego wynalazku: Tak się robi proch!

— To jeszcze trzeba gałęzi? — zapytała Jadzia która się przy każdej robocie łatwo zniechęcała — jużem sobie ręce od noszenia pokłuła!

— Bez pracy niema kołaczy rzekł Marcin, który większą część gałęzi przyniósł, a wcale zmęczonym się nie czuł. Ja skoczę tymczasem do koni a panienki i panicz niech na to miejsce noszą gałęzie. Jakbym wiedział, że tam gniada już się rozebrała! Bo to się tak rozbierze jak człowiek.

— Ja pójde z Marcinem! — wołał Józio, który tak konie lubił, że mówił o nich nawet przez sen.

— Nie wiem czy tam panicz pozwolenstwo dostanie.

— O z Marcinem wszędzie pozwalam — odparła panna Zawrzecka, a Marcinowi w tej chwili urosły ramiona, bo w ten sposób objawiała się u niego zadowolona miłość własna.

Marcin wziął Józia za rękę prowadząc go ku wozowi i koniom i zaraz sobie o stajni i koniach rozmawiać zaczęli.

— To gniada mądrzejsza od Fanfuli? — pytał Józio.

— O, w kaszy by ją pojadła — odparł Marcin — już to mądrzejszego konia jak gniada, to na świecie niema. To panicz nie wie jak to Zagłoba mówił:

— Nie wiem.

— To panicz nie czytał „Ogniem i mieczem”.

Marcin ze zdziwienia stanął aż na środku ścieżki i wdało mu się w tej chwili, że był jednym z najbardziej tanych ludzi w Europie.

— Nie czytałem. To Adaś czytał. Mama mówi jak będę miał lat 12...

— To ja paniczowi opowiem jak to Zagłoba mówił.

I Marcin począł opowiadać jakiś epizod z powieści „Ogniem i mieczem” z taką dokładnością, jak gdyby go ze sto razy wertował. Tak też i było. Marcin zaledwie kilka książek w życiu swoim przeczytał ale odkąd pani Bodzińska dała mu do przeczytania „Ogniem i mieczem”, odtąd czytał tę jedną tylko książkę. Ile razy przeczytał tom pierwszy, tyle razy go odnosił i prosił o tom drugi, następnie o trzeci, a potem znowu o pierwszy. Proponowano mu „Potop” ale on odpowiedział, że „nie trza grzyszyć” co dobrego, to nie zmieniać ino Pannu Bogu dziękować że je takie dobre” i na nowo „Ogniem i mieczem” wertował.

Pokazało się, że gniada rzeczywiście była rozebrana, więc Marcin do niej przemówił:

— A to jej tylko rozebranie w głowie! Już to jaki kto za młodu to i na starość taki sam! Ciągnąć to nie chce i na drugiego się spuszcza, a postaw ją to póty się będzie strząchać, wiercić, o drugiego obcierać a kopać, aż orezyki poprzestępuje i rozbierze ci się do szcztu! O już ja cię nauczę.

— Jakże to było z Zagłobą — zapytał Józio.

A Marcin w śmiech na samą myśl o przerwaniu opowiadania I śmiał się trzymając za boki. Śmiał się tak, jak tylko człowiek z ludu śmiać się umie. W salonie byłby ten śmiech wydał się nie w miejscu, ale gdy wybuchnął w stajni lub lesie jak w tej chwili, wszystkich ten śmiech radował.

— Więc widzi panicz Zagłoba był sam w strachu ale udawał zucha...

Tu znowu śmiech przerwał opowiadanie Marcina, które jednak dokończył, sam tak niem będąc zaciekawiony, zajęty, rozbawiony, jak gdyby to jego samego spotykały nadzwyczajne przygody Zagłoby i jakby to on sam sypał jego konceptami jak z rękawa.

Józio słuchał zapatrzony w Marcina, uszczęśliwiony z opowiadania a gdy się skończyło Marcin poczuł znowu swoją nieskończoną wyższość nad Józkiem bo mu ramiona urosły gdy mówił:

— To panicz doprawdy „Ogniem i mieczem” nie czytał a ja już dwunasty raz czytałem!

Aleksander Macedoński takim tonem mógł tylko powiedzieć: „Wygrałem 12 bitew”.

Marcin jednak obok tej literackiej uprawy był człowiekiem wysoce praktycznym bo zawołał zaraz:

— Trza nam lecieć do ognia. Suche gałęzie to się wnet spalą. A potem by się kartofle nie upiekły. O, już nikt tak kartofli nie upiecze w polu albo w lesie jak ja. A o soli to pewno panna Marynia zapomniała.

Józio z Marcinem wracali do ogniska, które się w istocie dopalało. Więc Marcin rozgrzebał popiół i węgle, przykrył niemi dobrze kartofle, a potem na tem wszystkim zapalił nowe ognisko z suchych gałęzi. Tymczasem wydobywano zapasy między którymi był garnuszek masła do pieczonych kartofli.

— Marcin patrząc na te przygotowania ozwał się:

— Kartofel z masłem i z solą to choćby na królewski stół.

Podkreślił głosem wyrazy: z solą i jak się tego spodziewał wywołał wykrzyknik Maryni:

— Ach zapomniałam o soli!

Wtedy Marcin z dumą wydobyl z zanadru małą paczkę, zawiniętą w papierek podejrzanego czystości i z tryumfem złożył ją na ołtarzu dobra publicznego.

— Oto jest sól — wyrzekł tonem Leonidasa mówiącego posłom perskim: „Przyjdźcie nam broń odebrać!

Józio patrzył na Marcina z admiracją, zaś panna Zawrzecka i dziewczynki uśmiechały się, bo ich bawiła miłość własna pocziwego woźnicy.

Tymczasem ogień pryskał, to się wysokimi strzałkami wkoło wznosił do góry, to przygasać się zdawał na chwilę, to się za gęstymi kłębami dymu, które wiatr czasami odłuskiwał, daleko, daleko, to znowu (ponieważ wiatr jest wielkim lawastkiem) zwracał się nagle ku pannie Zawrzeckiej i dzieciom, dzieci zamykały oczy i krzywiły się, a Marcin ozwał się sentencyonalnie:

— Bo to jest taka zagadka: Co to takiego co niema ani zębów, ani gęby a gryzie.

— Dym, dym! — zawołały dzieci.

— To ja paniom powiem jeszcze jedną zagadkę: „Co jest najtłuszcieszego na świecie?”

Nikt nie umiał odpowiedzieć. Wtedy Marcin zwrócił się do panny Zawrzeckiej, której pedagogiczne zdolności mocno w tej chwili podejrzawać zaczął.

— To każdy powinien wiedzieć — to taka rzecz co każdy powinien wiedzieć.

— Słonina! — zawołała nagle Marynia.

— Masło! — cienkim głosikiem ozwał się Józio.

— Oliwa — dodała Jadzia.

Ale Marcin kiwał głową z wyrazem niezmiernie wyższości.

— Ani słonina, ani masło, ani oliwa — rzekł wreszcie — to trza wiedzieć, to każł człowiek powinien wiedzieć: *Najtłuszciesza jest ziemia.* Bo co prawda to nie grzech. Ziemia jest *najtłuszciesza!* Bo w ziemi jest i złoto, jest i srebro jest i wapno, jest i glina na cegłę. Wszystko jest! Wszystko tam Pan Bóg złożył dla człowieka.

— Nie byłabym zgadła — ozwała się panna Zawrzecka.

— A widzi pani a to trza wiedzieć! A i sól jest w ziemi...

— I nafta! — zawołała Marynia.

— I węgiel! — dodała Jadzia.

— I robaki! — zawołał ni w pięć ni w dziewięć Józio za co mu się dostało pogardliwe wzruszenie ramionami Jadzi.

— Marcin tymczasem grzebał w dopalającym się ogniu, wydobywał kartofle i próbował czy już miękkie.

— Ino im jeszcze trza tyle czasu co dziesięć razy przejechać konie zgrzeblem — zawyrokował! No niech tam jeszcze posiedzą póki nie wrócę. Już się tam pewno gniada znowu rozebrała. Skoczę do koni i będę w mig napowrót.

Marynia poczęła w ogniu grzebać, ale Jadzia i Józio nie pozwolili jej wyjmować kartofli.

— Nie ruszaj ognia, wołały — to już Marcin najlepiej zrobi.

Wrócił też wkrótce Marcin tak uśmiechnięty i rozradowany iż wszyscy pomyśleli, że w tej chwili w wyobraźni żył wspólnie z ulubionym bohaterem Zagłobą, ale inna była przyczyna wesołości Marcina.

— Musi będziemy mieli gości na podwieczorek zawołał. Tak mi się coś widzi, że goście jadą.

Obstąpiły go dzieci.

— Jacy goście jadą? Kogo Marcin widział?

— Nikogom nie widział, ale niech panienki słuchają.

Położył palec na ustach i wszyscy wsłuchali się w szum drzew leśnych.

— Jadą — zawołał Marcin — słyszą panienki, słyszy panicz?

Dzieci nie nie słyszały.

— O jużci to ona klekocze — wołał Marcin — poznałbym ją na końcu świata! Figa taka telepie się to, jak jaki powóz.

— Ja doprawdy nic nie słyszę — mówiła Marynia. — Drzewa szumią, ktoś huk po lesie, dzieciół w drzewo kuje i więcej nic!

— Nic? A wrzask panicza Adasia? Jakbym widział jak pan Siewroński siedzi na siedzeniu niby w łupinie od orzecha, a panicz na koźle za furmana. A kucka udaje, że się spieszy. Bestya leniwa, spasiona, myśli tylko o żłobie a robota jej nie w głowie.

Skakanie, okrzyki radośne dzieci, zagłuszyły słowa Marcina, który zabierał się do wyciągania kartofli z popiołu.

— Niech się Marcin jeszcze zatrzyma — prosiła Marynia — może to naprawdę Adaś jedzie. To się kartofle wyciągną jak on tu już będzie!

Zwróciła się do panny Zawrzeckiej.

— Niech nam pani pozwoli wyjść z Marcinem na drogę! Proszę pani!

— Ja sama z wami pójdę — rzekła panna Zawrzecka — Marcin ma taki słuch doskonały, że widzę, iż rozeznał klekot wózka Adasiowego.

Dzieci biegły przodem podskakując, Marynia wyprzedzała wszystkich. Serce jej biło od radości, nadziei i oczekiwania. Może doprawdy Adaś skończył lekcye, a pan Siewroński zgodził się na

pojechanie z nim z resztą towarzystwa do lasu.

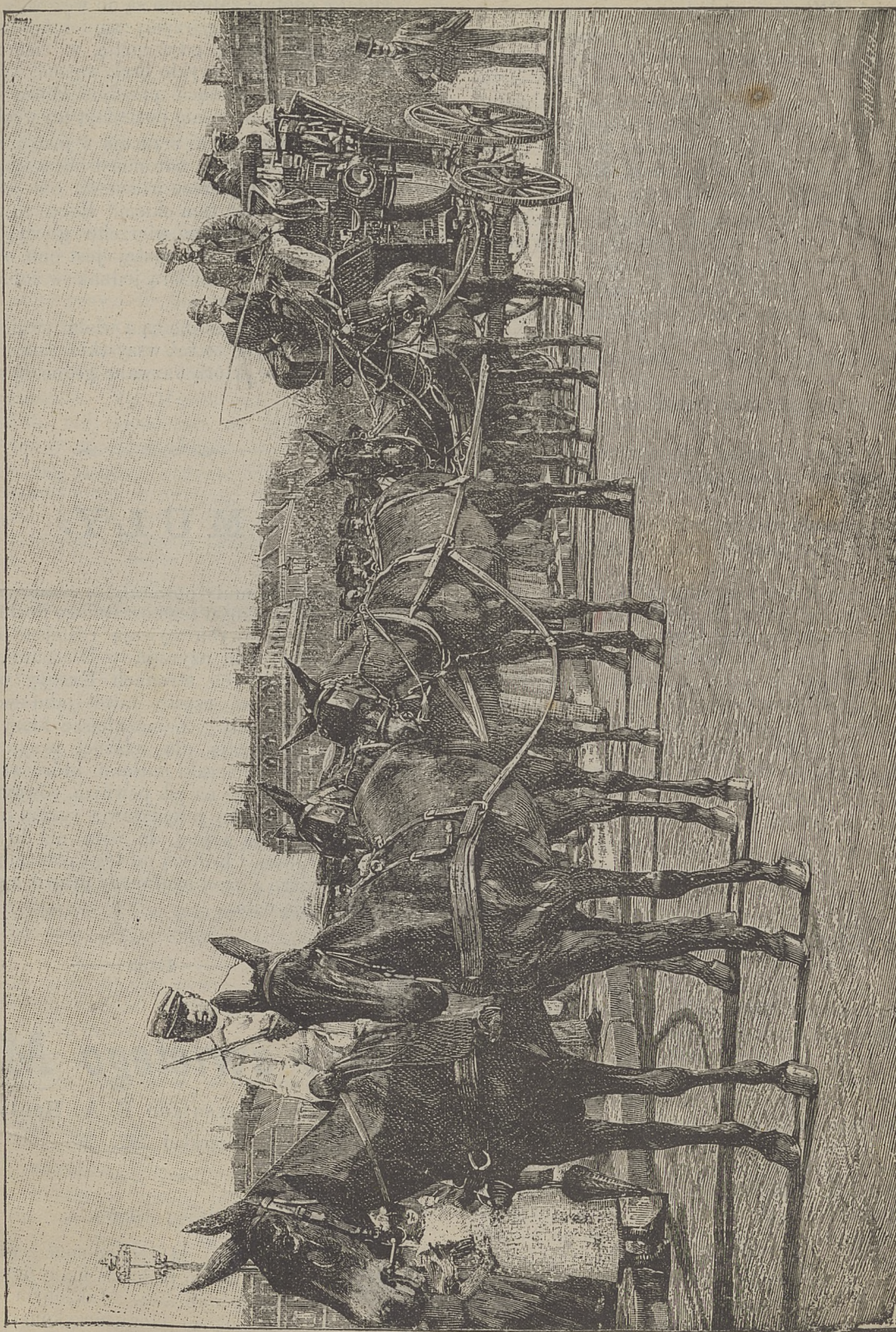
Gdy się dzieci z panną Zawrzecką znalazły na drodze, ujrzały zdala ekwipaż dobrze sobie znany: mały wózek, na którego siedzeniu pan Siewroński wyglądał jak olbrzym. Adaś machał batem nie uderzając kucki a tylko ją strasząc co ona rozumiała dobrze, bo choć dreptała niby, wszyscy wiedzieli, że mogła biedz prędzej i żwawiej, tylko miała zamiłowanie w lenistwie, w łakomstwie i wołała używanie niż obowiązek. Nazywała się Mynia, bo miała maść myszatą. Bywała chwilami ogromnie uparta i jak postanowiła postawić na swoim, to postanowiła, czuła bowiem dobrze, że jest silniejszą od Adasia, a nawet od wszystkich dzieci razem wziętych. Ale była kochana pomimo wad swoich i trzeba jej przyznać, że gdy miała które z dzieci na grzbiecie, to je nosiła jak niańka i wiedziała, że dźwiga drogi ciężar. Raz wszakże pomimo jej troskliwości, nieuwważna Marynia spadła z niej przed samym gankiem. Mynia stanęła jak wryta i stała dopóki dziecka nie podniesiono. Potem uważano, że Mynia była smutna i zawstydzona choć się do winy nie poczuwała. Musiała być zranioną w swej miłości własnej i przykro jej było, że plama zacieżyła na jej honorze, a nieskazitelna służba skazę poniosła.

Gdy dzieci ujrzały bryczulkę pana Siewrońskiego, Adasia i Mynię podniósł się krzyk nieopany.

— Jeszcześmy kartofli nie zaczęli jeść — wołał Józio



Jaszczurka zwana gekonem.



1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100

— i kawa jeszcze w butelkach. Nawet ani jednego sucharka nikt nie zjadł!

Adaś, który z powodu klekotu bryczulki nie nie słyszał wołał ze swej strony:

— Otóż bez pracy kołacz! Nie nosiłem gałęzi na ogień, nie przygotowałem niczego a na biesiadę pewno jeszcze zdążę. A no Mynia! Wio próżniaku!

Gdy dzieci wraz z nauczycielem znalazły się przy ogniu, zastały już Marcina z improwizowaną tacą w ręku pełną kartofli. Tacę stanowił duży kawał kory obdartej z powalonego drzewa. Dywany z siedzeń na wózce rozłożone były na ziemi, usiedli wszyscy. Pan Siewroński który był niegdyś przez jakiś czas w Turcyi pokazywał jak to wygodnie siedzieć po turacku. To siadanie z podwinętymi nogami zabawiło dzieci ogromnie, ale najbardziej zabawiło Marcina.

— O jakież to różne ludzie są na świecie! — wołał — Nie woleliby se to siedzieć na ławach jak Bóg przykazał, nie nogi podwijać, nie przymierzając — jak psy.

— Marcin nam tu zagadki dawał — rzekła Marynia — no Adasiu co to takiego co niema ani zębów ani gęby, a gryzie?

Adaś pomyślał chwilę, a potem odpowiedział:

— Sumienie.

Marcin wybuchnął z początku śmiechem, ale po chwili zastanowił się i rzekł:

— Co prawda to nie grzech! Panicz utrafił, niema co powiedzieć! Oj sumienie niema zębów i gęby, a gryzie gorzej, niż owad w głowie.

— Jeszcze drugą zagadkę zgadnij Adasiu — rzekła Jadzia — to też zagadka Marcina: Co na świecie jest najtłuszciesze?

— Mynia — zawołał bez namysłu Adaś,

Marcin począł się tak śmiać, że aż się wziął za boki.

— A to panicz zuch do odgadywania zagadek! Ha, ha, ha! Mynia! Jużci ma od czego być najtłuszciesza, kiedy i ja jej obrok sypię i panicz Adaś, a cukier, chleb, bułkę noszą jej panienki! Jużci najchudszyby się wypasł jakby mu ciągle jadło podawali. A taka ta kuca łakoma że wszystkoby jadła! Ona tam pewno ogląda się za kartoflami pieczonymi, co się ich zapach po całym lesie rozchodzi.

(d. c. n.)

JASZCZURKI.

Ogólnie znane są nasze jaszczurki, zwinne zwierzątka, które lubią wygrzewać się na słońcu, lecz za łada szelestem, zmykają z błyskawiczną szybkością, kryjąc się w szczelinach murów, przy których zwykle przebywają. Całe ciało jaszczurek pokrywają łuski drobne, łuska zaś jest to stwardniała skóra. Wszystkie jaszczurki podzielili zoologowie na kilka grup, stosownie do kilku, pomniejszych cech rozróżniających; znany więc: *jaszczurki właściwe* u nas pospolite, dalej *legwany*, większe od poprzednich, które żyją tylko w gorącym klimacie. Odmianą legwanów jest Smok latający, tak zwany z powodu wielkich fałdów skóry, które wyrastają mu na bokach ciała, naksztalt nietoperzych skrzydeł; te fałdy rozkładają się płasko, gdyż je podtrzymują żebra bardzo wydłużone u smoków latających. Do jaszczurek należą też *kameleony*, nadzwyczaj powolne zwierzęta, żyjące przeważnie na drzewach; posiadają one szczególną własność zmiany ubarwienia. Podrażniony kameleon z szarego staje się czerwonym, siwym, zielonawym. Język ma przytem bardzo długi, gdy go z paszczy wysunie, długość języka dorównać może prawie trzeciej części jego ciała. U nas zwierząt tych niema wcale, w Europie spotykać je można w południowej Hiszpanii, głównie żyją w Afryce północnej.

Nasza rycina przedstawia rodzaj jaszczurki zwanej *gekonem*, który żyje tylko w ciepłych krajach. Od właściwej jaszczurki różni się ogonem zaokrąglonym, jak to wyraźnie wskazuje rysunek. Gekon w dzień wygrzewają się na słońcu, w nocy zaś wychodzą szukając żeru. Żywią się zaś, tak jak ogół jaszczurek, owadami.

Padalce ogólnie zaliczane są do węzów, z powodu braku nóg, a jednak jeśli przyjrzymy się ich kościom, zaliczyć je musimy do jaszczurek, gdyż mają w ciele ukryte drobne kostki nożne, których zwykle brak węzom, wreszcie u padalców widzimy kość łączącą przednie końce żeber, kość którą zowiemy mostkiem, węże nie posiadają jej wcale.

Wszystkie jaszczurki zrzucają w jesieni skórę, bądź to całą, bądź to częściami, a natomiast obrastają nową. Zwierzątka te mają jedną jeszcze własność: oto posiadają trzecie oko. Czy jednak widzą tem okiem? Rzecz to wątpliwa. Owo trzecie oko znajduje się na wierzchu głowy, pokryte skórą dość w tem miejscu przezroczystą, jest ono o wiele mniejsze od oczów normalnych, zawiera jednak w sobie barwnik i soczewkę tak jak inne oczy.

Do jaszczurek podobne są z wielu względów węże, dalej żółwie i krokodyle, to też wszystkie razem tworzą w zoologii jedną gromadę, którą nazwano gromadą gadów.

M. A.

MUŁY.

Wiadomo, że muły powstały z pomieszania gatunków osła i konia, do wielkości tego ostatniego dochodzą wzrostem, w stronach południowych bywają rośniejsze niżeli w północnych. Zwierząt tych używają w Hiszpanii, we Włoszech i w ogóle w górzystych stronach Europy południowej do przewożenia ciężarów, często nawet jako zwierząt pociągowych do szybkiej jazdy. Zamożniejsze klasy społeczeństwa w Hiszpanii, urządzają dla własnej przyjemności dalsze, zwłaszcza górskie wycieczki mułami, które wtedy przekładają nad konie, polegając na ich pewnym, równym i wytrzymałym chodzie. Wyprawę taką przedstawia rycina nasza. Powierzchnością muły są więcej do osła niż do konia zbliżone. Mają głowę grubszą i krótszą od tego ostatniego, uszy dłuższe, kopyta węższe a ogon ogołocony prawie z sierści. Rykiem też przypominają osła.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Jest to Pisani. Musisz go znać z widzenia. Co to za dzielny człowiek! Jemu podobno mają powierzyć dowództwo floty na następną wyprawę. Jakżebyś chciał pod nim służyć, ten dopiero pokaże Genuieńczykom, co nasza flota jest warta! Ojciec jego był sławnym admirałem. Ten co z nim idzie to Dandolo; należy on do znakomitej rodziny, która wydała niejednego wielkiego człowieka. To jego pradek ów doża, który zdobył Konstantynopol i rozdzielił państwo Wschodnie pomiędzy krajowców. Kto to może być ten młody człowiek w zielonej, aksamitnej czapce i w brunatnym ubraniu? To chyba Ruggino Mocenigo. Zesłano go na dw...

ata do Konstantynopola za to, że zabił Paolo Morosiniego. On utrzymywał, że go zabił w pojedynku, ale nie było dowodów. Kiedyś obaj się posprzeczcali o to czyja rodzina jest bogatsza, a w kilka dni później strażnicy miejscy spostrzegli jak Mocenigo wskakiwał do łodzi i szybko odbijał od brzegu. Nad kanałem spostrzeżono trupa Paola, miecz Moceniga był skrwawiony, i choć przyjaciele Paola utrzymują że on swego nie wyjął z pochwy, jednak rodzina Ruggina znalazła świadka, który poprzysiągł, że miecz sam podniósł z ziemi. Wszystko to naturalnie jest wymysłem, ale ponieważ rodzina Mocenigów ma wielkie wpływy, sąd uwolnił Ruggina. Musiano jednak pod naciskiem opinii publicznej wyrok zmienić i skazać winnego na dwa lata wygnania. Teraz właśnie czas ten upłynął i pozwolono mu wrócić do miasta. Nie lubią go u nas za różne dawniejsze sprawy, ale boją się, gdyż ma bardzo potężne stosunki, zresztą niejeden nie jest więcej wart od niego.

— To jednak straszne — zawołał Franciszek Hammond z oburzeniem — żeby ludziom wpływowym wolno było popełnić zbrodnie za które zwykły śmiertelnik dawnoby wisiał. Przecież macie jedno prawo dla bogatych i dla biednych.

— O tyle o ile chodzi o państwo. Spisek szlachty jest karany, tak samo jak spisek najuboższych rybaków. Ale w innych wypadkach jest pewna różnica.

— To niesłusznie. Ty Matteo należysz do możnej rodziny Giustinianich, mój ojciec jest zwykłym kupcem, czyż więc dla tego masz prawo zamordować mnie bezkarnie?

— Widzisz mój drogi — zawołał Matteo ze śmiechem, to prawo tak weszło u nas w zwyczaj, że nie możemy sobie inaczej wyobrazić. Ale ja sam przyznaję, że jest hańbą korzystać ze swej przewagi i że nasza szlachta powinna szlachetnie postępować.

— Muszę już ciebie pożegnać — rzekł młody Anglik. Czas mi wracać do domu. Już wybiła dziesiąta, a ojciec mój nie lubi abym do późna przebywał na mieście.

— Co się tak długo zatrzymało, mój chłopcze — zapytał ojciec wchodzącego Franciszka.

— Nie myślałem, że jest tak późno mój ojcie. Cały plac pokrywają przechadzające się tłumy. W całej Wenecji nikt się tak wcześnie nie kładzie jak my. Każdy korzysta ze świeżego wieczoru po znojnym dniu.

— To prawda mój synu, ale Bóg nam dał noc na to, żebyśmy odpoczywali. Ojcowie nasi gasili ogień o ósmej, a ty sobie zaś pozwalasz przebywać na ulicach do dziesiątej i sądzę, że masz dosyć czasu aby ochłonąć po całodziennym upale. Znacznie jest zdrowiej wstać wcześniej i spędzić ranek na świeżym powietrzu. Nie potępiam jednak Wenecyi, niech się bawi póki ma spokój; niebawem zajmą ją ważniejsze sprawy.

— Zdaje się, że pokój jest ze wszech stron zapewniony; teraz kiedy podpisała traktat z Austrią po krótkiej wojnie, nie ma żadnego nieprzyjaciela.

— To był tylko początek i dla tego Rada przyjęła warunki Austrii. Austrija działała w porozumieniu z Węgrami, Padwą i Genuą, ale ponieważ tamci nie byli gotowi do wojny, sama więc wystąpiła i zabrała co mogła łupów. To był tylko początek, burza się zbiera, niedługo wybuchnie. Ale nie stojmy tu dłużej, czas nam już spocząć.

Franciszek wszedł do swego pokoju, ale się zaraz nie położył. Stał długo przy oknie, patrzył na snujące się gondole i rozmyślał nad słowami ojca. Żałował, że nie jest o parę lat starszym, że nie będzie mógł wziąć udziału w walce, w której nie wątpił, iż Rzeczpospolita nową okryje się chwałą.

Franciszek kończył lat szesnaście i był niezwykle silny na swój wiek, a to dzięki ćwiczeniom, właściwym chłopcom angielskim, których nie zaniedbał w czasie swego czteroletniego pobytu w Wenecyi. Strzelał do celu, wiosłował i oprócz kilku godzin dziennie, które poświęcał nauce, cały czas przebywał na świeżym powietrzu. Na usilne jego prośby, ojciec pozwolił mu uczęszczać do Szkoły Broni, gdzie się uprawiał

w robieniu szpada, rzucaniu pocisków do celu, i wywijaniu ciężkim toporem.

Wieczorami wsiadał do swej gondoli, wypływał z synem gondoliera Giuseppe daleko za miasto i tam dopiero oddawał się swej ulubionej rozrywce, wiosłowaniu. W mieście tego nigdy nie czynił, bo Wenecyanie ten rodzaj sportu uważali za niegodny człowieka zamożnego, ale młody Anglik przyzwyczajony do robienia wiosłem na Tamizie, chwycił każdą sposobność aby się coraz bardziej wprawiać; on i Giuseppe doszli do takiej doskonałości, że wyprzedzali wszystkie dwuwiosłowe łodzie.

Nazajutrz po śniadaniu szedł do miejsca, gdzie gondolier Beppo i Giuseppe przybrani w czarne suknie z czerwonymi ozdobami, oczekiwali pana Hammonda, aby go zawieźć do portu, dokąd właśnie przybył statek z Azoph. Widząc swego młodego pana Giuseppe wyskoczył na brzeg.

— Widziałem przed chwilą gondolę, która się wam spodoba Messer Francisco.

— Gdzieżeś ją wyszukał?

— Należy do rybaka w Lido, zbudował ją dwa lata temu na wyścigi, ale zachorował i nie mógł należyć do gonitwy. Biedak nie może wrócić do zdrowia i dlatego chce sprzedać łódź, która jest zbyt słabą do przewożenia ciężarów. Podobno jest lekka jak łupina i my obaj doskonale nią potrafimy kierować. Kosztowała cztery dukaty, ale sprzedadzą ją pewnie za dwa.

— Wybornie! bo gondola mego ojca jest bardzo wygodna, ale za ciężka. Dziś wieczorem popłyniemy na Lido, żeby ją obejrzyć.

Chwilę później nadszedł pan Hammond, Beppo i syn jego zdjeli kurtki i zabrali się do wiosła, a Franciszek z lekkim westchnieniem zwrócił się w boczną ulicę, i poszedł do domu nauczyciela, z którym odbywał nauki od przybycia do Wenecyi.

Głównie studyował języki, gdyż w owych czasach mało czego więcej uczono. Łacinę znano powszechnie w południowej Europie i ludzie należący do różnych narodowości, porozumiewali się w tem narzeczu. Franciszek rozumiał po francuzku, gdyż mówiono tym językiem na dworze angielskim i między ludźmi wykształconymi. Po włosku nauczył się w Wenecyi i mówił nieźle po niemiecku. Do jego szkoły uczęszczało wielu szlacheckich synów, pomiędzy nimi Matteo Giustiniani, z którym Franciszek się zaprzyjaźnił.

Gdy wieczór nadszedł, Franciszek w towarzystwie Giuseppe popłynął na Lido, aby obejrzeć ową piękną gondolę. Była w istocie niezmiernie lekką i łatwą do kierowania; kształtem przypominała raczej czółno, niż gondolę, gdyż nie miała wysokiego dzioba i formę mniej wydłużoną, co ułatwiała zawracanie w krętych kanałach śródmieścia.

— Jabym jej nie sprzedawał, gdyby nie febra która mi siły odjęła, ale cóż robić, czasy ciężkie, nie mam z czego żyć — mówił biedny rybak, i z żalem patrzył jak młodzi chłopcy kierowali zrecznie lekką łodzią.

Wieczorem obie gondole uwiązano przy schodach do jaskrawo umalowanych słupów, a Giuseppe chwalił się przed wszystkimi znajomymi przewoźnikami, nowym nabytkiem swego pana.

— Kupiłem drugą gondolę, ojcie — rzekł Franciszek przy śniadaniu — niezmiernie lekki stateczek i niedrogo zapłaciłem.

— Dobrześ zrobił mój synu; gdyż nieraz ostatnimi czasy chciałem pływać po kanale, i nie znajdowałem łodzi. Teraz będę pewny, że mnie Beppo czeka przy schodkach. Ponieważ jednak masz gondolę, nie będę od ciebie wymagał, abyś wracał do domu przed dziesiątą; dasz mi tylko słowo, że nie będziesz chodził po ulicach, gdzie niezmiernie jest łatwo o przygodę. Na wodzie będę spokojny o ciebie.

Franciszek był uszczęśliwiony pozwoleniem ojca i bez wahania dał żądane słowo, bo czemże był spacer między tłumami na placu, w porównaniu z rozkosznymi wycieczkami po kanałach!

II. Spisek.

— Kto są te panie? — pytał Franciszek przyjaciela, siedzącego obok w łodzi widząc, że Matteo podniósł się i skłonił głęboko dwóm przepływającym obok nich dziewczętom.

— To są moje dalekie krewne, Marya i Julia Polani, które wróciły niedawno z Korfu. Ojciec ich jest bardzo bogatym kupcem, i przez trzy ostatnie lata mieszkał na Korfu, skąd wysyłał swoje okręta na Wschód. Rodzina Polanich jest starożytna i można; mieliśmy kilku dożów tego nazwiska. One obie będą niezmiernie posażne bo nie mają brata, a matka ich umarła wkrótce po urodzeniu Julii.

— Muszą być jeszcze bardzo młode.

— Marya ma szesnaście lat, a Julia jest o dwa lata młodszą. Pewnie niedługo zamąż pójdą, bo jak widzisz, są bardzo ładne.

— A kto jest ta pani, która im towarzyszy?

— To tylko ochmistrzyni. Wychowała je od dziecka i ojciec ma wielkie w niej zaufanie. Niedługo jednak jej rola się skończy, obie powychodzą za mąż i nie będzie im więcej potrzebna.

— Pewnie signor Polani upatrzył już sobie przyszłych zięciów?

— Tak sądzę.

— Wiesz, to straszne, że we wszystkich wielkich rodach nie synowie i córki wybierają sobie żony i mężów, ale im z góry kogoś przeznaczają. Tak jest na całym świecie, ale mnie się zdaje, że nie można nikomu większej krzywdy wyrządzić, jak kazać mu się żenić z kobietą której nie kocha.

— I ja dziś jestem twego zdania, ale z pewnością będę myślał inaczej, kiedy będę miał synów do ożenienia i córki do wydania. Twoja gondola musi być jednak niezmiernie lekka, bo choć nie znać aby się twój chłopak wysilał, nie daje się wyprzedzić żadnej innej.

— Zobaczysz jaka jest lekka, Matteo, wyjedziemy kiedy wieczorem za miasto i wtedy obaj Giuseppe i ja będziemy wiosłowali. Niema łodzi, którebyśmy nie wyprzedzili.

— Taka szybka łódź, nieraz ci się może przydać, zwłaszcza jeżeli będziesz uciekał przed strażą miejską.

— Mam nadzieję, że tego nie będę potrzebował — rzekł Franciszek ze śmiechem. — Nie mam zamiaru wchodzić w zatarg ze strażnikami. Ale zawsze to bardzo miło pływać szybko, i nie dać się nikomu, wyścignąć. Giuseppe i ja takżeśmy się wprawili, że możemy współzawodniczyć z najbieglejszymi wiosłarzami.

W kilka dni później Franciszek powracał do domu o wpół do dziesiątej, kiedy zawołano go z brzegu:

— Czy przewieziemy tego signora, panie — zapytał Giuseppe, gdyż nieraz wieczorem udawali zwykłych gondolierów i obsługiwali podróżnych.

Franciszka bawiło przyglądanie się twarzom nieznanym i z min starał się wyczytać jaki jest cel ich wędrówki. Zresztą wszystko mu było jedno dokąd plynie; szło mu o ruch i przebywanie na świeżem powietrzu. Giuseppe znów niezmiernie cenił tego rodzaju zajęcie, bo za każdym razem powiększały się jego fundusze.

— I owszem — odparł — nie mamy nic lepszego do roboty.

— Nie spieszo wam spocząć? — zapytał nieznajomy, podczas gdy łódź przybijała do brzegu.

— Dobra zapłata nie da nam uczuć zmęczenia — odparł Giuseppe, gdyż Franciszek bojąc się aby go wymowa cudzoziemska nie zdradziła, nie mówił nigdy z podróżnymi.

— Wiecie gdzie leży San Nicolo?

— Wiemy, ale to bardzo daleko, przynajmniej sześć mil...

— Będziecie musieli poczekać przez parę godzin, potem mnie odwieziecie na to samo miejsce, ale w nagrodę dam wam pół dukata.

— Dobrze, popłyniemy — odrzekł Franciszek po namyśle.

Przeprawa była długa, lecz Franciszek nie żałował zmęczenia, bo ciekaw był wiedzieć, co nieznajomy ma za sprawy w tak oddalonem miejscu, a Giuseppe radował się naprzód nadzieją znacznego zysku. San Nicolo jest to mała wysypka leżąca poza całą gromadą wysp i ławic piaszkowych; zamieszkiwali ją wyłącznie rybacy i Franciszek nie mógł zrozumieć, co człowiek należący bezwątpienia do klasy zamożnej, mógł robić w nocy na tem pustkowiu. Niezawodnie musiał mieć ważne powody. Kiedy nieznajomy wsiadał do łodzi, Franciszek spostrzegł, że twarz miał zasłoniętą maską, ale masek używano często, zwłaszcza w sprawach gdzie szło o zachowanie zupełnego incognito. W każdym razie, wyprawa zaczynała być zajmującą. Ujęli obaj za wiosła, i powoli, równo pruli wodę. Nie spieszyli raz dla tego, że mieli daleką drogę przed sobą, powtórze, że nie chcieli aby nieznajomy brał ich za co innego, jak za zwykłych przewoźników. Nie zamienili ani jednego słowa, dopiero, gdy zbliżali się do wyspy, podróżny rzekł:

— Dobrze wiosłujecie, jeżeli macie ochotę, to was będę częściej używał.

— My zawsze chętnie zarabiamy — odparł Franciszek zmienionym głosem.

— W takim razie, powiem wam, gdy będziemy wracać, którego wieczoru będziecie mi potrzebni. Czy potraficie zamieścić przed towarzyszami, żeście mnie tutaj wozili?

— Nie będziemy wiele mówić, i obojętne nam jest dokąd woziny podróżnych, byle nam dobrze płacili.

Chwilę później przód gondoli zarył się w piaszczysty brzeg San Nicolo. Podróżny wyskoczył i rozkazując im czekać na siebie, poszedł w głąb wyspy.

— Panie Franciszku — rzekł Giuseppe, kiedy się nieznajomy oddalił — co was mogło skłonić do wycieczki tak odległej? Ja naturalnie, tylko się z tego mogę cieszyć, bo za dukata kupię sobie kurtkę ze srebrnymi guzikami; ale już bardzo późno, musimy się spieszyć, bo i tak pan starszy będzie się gniewał.

(d. c. n.).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

rsza siostra wiersz (z drzew.) — O sztucznem zimnie i o sztucznym lodzie, skreślił S. Kramsztyk. — Losy Adasia p. Zofię ską. — Jaszczurki (z drzew.) — Muły (z drzew.) — Lew świętego Marka (z angielskiego) G. A. Henty, przekład K. P. — k: Dwa a dwa... wiersz (z drzew.) — Szarada w obrazkach. — Opowiadanie starego wróbelka. — Mali Robinsonowie w ska- admorskich, przełożyła M. B. — Kamigłówni. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład z angielskiego T. O.

WIECZORY RODZINNE

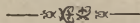


DWA A DWA...

Raz niedźwiadek jeden młody,
Powszechnie z lenistwa znany,
W szkole smutne miał przygody,
Był surowo ukarany.

Boć ojczulek, niedźwiedź stary,
W pantalionach i zakiecie,
Ma na nosie okulary,
Z fajką w zębach i w berecie.
Więc nielada to osoba.
Przytem jaka mina sroga!
Jak się dzieciom niepodobał
Wzrok surowy — och dla Boga!
Wszystkie przed nim drżą zwierzęta,
Lecz gdy idzie szczerą pracą,
Lekcyę dobrze kto pamięta,
W kącie kozłów nie wyraca.
Ten już kary się nie boi:
I nauka idzie składnie...
Jeden tylko nasz leniuszek
Miny różne, figle stroi,
Bawi się łowieniem muszek.
I cóż z tego? niech kto zgadnie,
Jak odrobił swe zadanie,
Kiedy co innego w głowie?
Dwa i dwa — miał dodawanie,
Ile razem każdy powie.
A ja szepnę wam w sekrecie,
Cicho do samego uszka,
Bo, aż mnie wstyd za leniuszka,
Pięć wypadło! — cóż powiecie?
Ale za to kara sroga,
Więc ojczulek z różgą kroczy,
Groźnie mu się błyszczą oczy.
Cap, za ucho. — Oj, dla Boga!
Na podłogę łyż się leją,
Idź stać w kącie mości panie,
Robić drugie dodawanie...
A wszystkie się dzieci śmieją...

SZARADA W OBRAZKACH.



Jedną z zabaw mogących uprzyjemnić zimowe wieczory w dni świąteczne, gdy się zbierze kilkoro starszych i młodszych dzieci, jest odgadywanie szarad na ten cel obmyślanych a przedstawionych jak np. ta, której obecnie wzór podajemy.

OBRAZEK I-szy.

Józio (siedzi przy stole z rozłożoną książką i mówi): Rodzice wyszli na miasto, Zosia siedzi w swoim pokoju z panną Elizą, a ja mam się nudzić *sam* ucząc się lekcyi. Otóż

nie będę się uczył! Nikt mnie nie widzi — nikt nie powie rodzicom co robiłem — więc mogę przez pół godziny poczytać sobie. Tak! tak! *sam* jestem, to mogę sobie popróbnować — precz z gramatyką! (rzuci książkę o ziemię, nagle się zastanawia). *Sam*? czyż kiedy można być samym zupełnie?... Czyż mnie nie widzi oko Boskie, chociaż *sam* jestem w pokoju? O, źle chciałem postąpić: a więc przezwyciężę lenistwo, i nie tylko dzisiaj, ale zawsze postępować będę tak, jakby świat cały patrzył na mnie, chociaż w pokoju będę *sam*.

OBRAZEK II-gi.

Ignas (*wchodzi ubrany w długi surdut, który mu spada aż na pięty, okulary na nosie, z cylindrem na głowie i laską w ręku. Za jednym uchem ma zatknęty ołówek, za drugim pióro, za nim idzie dwóch mniejszych chłopczyków z tabliczkami pod pachą*). Jestem Gryzipiórski, uczę kaligrafii i zaraz dam tym oto dwom malcom lekcję pisania! No, bębn! uszy do góry, rysiki do ręki i pisać mi zaraz O! Ot, tak się pisze, uważajcie! (*pokazuje na tabliczkach, lub palcem na stole*). A który z was powie mi jakie słowo na O?

Pierwszy chłopiec (*placząc*). Ja nie wiem, proszę pana...

Drugi chłopiec (*z tryumfem*). A ja wiem, osioł!

Ignas. No, to dobrze, spamiętajcież sobie jak się pisze O, bo jak nie spamiętacie, to sami będziecie osły!

OBRAZEK III-ci.

Zosia (*w białym fartuszkuniesie w ręku tacę z przyborami do kawy i przechodzi tylko przez pokój, mówiąc:*) Kazała mi mama przynieść sobie kawę do swego pokoju — takam ciekawa, czy też ta kawa już osłodzona... tak pachnie... skosztuję... (*przechyliła do ust imbryczek i zaraz, z krzykiem stawia go wraz z tacą na stole*). Aj! aj! aj! co za war! sparzyłam się... (*zatyka usta chusteczką i ucieka*).

Czytelnicy odgadli już zapewne znaczenie szarady, której część pierwsza *Sam*, druga *O*, trzecia *War*, razem *Sam-o-war*. Całość wyrazu tego przedstawiona jest w ten sposób, że Józio i Zosia wnoszą samowar, który każde z nich trzyma za jedno ucho, wołając.

— Proszę ustąpić z drogi bo idzie samowar!

OPOWIADANIE SZAREGO WRÓBELKA.

Na jednej z ludniejszych ulic w środku Warszawy stoi ładny dom trzypiętrowy, mający licznych mieszkańców.

Nie sami jednak ludzie zamieszkują ową okazałą kamienicę, oto u szczytu jej, pod dachem, przytuliły się do murów gniazdko, będące schronieniem kilku rodzin szarych wróbelków, które gdy tylko dni słotne nastają, zwłaszcza gdy zima nadchodzi, zbierają się biedaki dokoła okien i balkonów, prosząc o trochę okruszków dla siebie i swych małych dzieci.

Jeden z tych wróbelków często bardzo siadał na gzymsie, poza oknem dziecinnego pokoju na pierwszym piętrze, bo tam dobre i, wedle jego ptasiego zdania, ładne dzieci, często sypały mu pożywienie.

Wróbelek przez wdzięczność, a potrosze też i z ciekawości, przylatywał do okna o różnych porach i dzieci ani się spodziewały, że owe małe, szare oczki śledzą je prawie przez dzień cały.

Wróbelek tedy przyglądał się bez przeszkody wszystkiemu, co się działo w pokoju i od niego to właśnie dowiedzieliśmy się bardzo dużo rzeczy.

— Dzieci te — mówił — znam już od lat kilku i zawsze myślałem, że ich jest tylko troje. Starsza dziewczynka i chłopczyk, których imion nie dosłyszałem i mała dziewczynka z rozpuszczonymi włoskami, na którą wołało „Fula”, jakie zaś to jest imię naprawdę, tego dobrze nie wiem. Od pewnego jednak czasu zauważyłem, że do pokoju tych moich małych przyjaciół, stara niańka przynosi codziennie prawie ślicznego maleńkiego chłopczyka, a dzieci wołają na niego: „Dziudzio”, „Bobuś”, „Kajtuś” i „Tolo”. To ostatnie imię najbardziej mi się podo- bało.

Zaledwie wybije ósma godzina, bona, która sypia razem z dziećmi w ich pokoju, budzi je i wstawać im każe. Wówczas dwoje młodszych zrywa się natychmiast ale najstarsza panienka przeciąga się jeszcze, tuli pod kołderką i prosi:

— Jeszcze chwilkę, jeszcze troszkę...

Ale nie pomagają te prośby, gdyż bona dłużej leżeć nie pozwala, więc skrzywiona i nachmurzona panienka zaczyna się ubierać.

— Uch, jaka zimna woda! Oj, oj, panno Emmo taka zima!... — woła mała Fula przy myciu.

— Aj, grzebień włosy mi targa! Ach, jak mię boli! — mówi znów starsza dziewczynka.

Niekiedy także chłopczyk upiera się i grymasi, gdy mu z powodu nieuwagi przy modlitwie powtórnie każe mówić pacierz. I tak oto od samego rana hałas w pokoju, zwłaszcza gdy dzieci zaczęły się sprzeciwiać jednemu drugiemu, nie chcąc ustąpić.

— Ależ to niegrzeczne te dzieci! — mówi do siebie wówczas wróbelek, i zasmucony odlatuje od okna. Wkrótce jednak potem przypomina sobie ptaszyna, że widocznie dobre być muszą, skoro paniętają o nim zawsze wśród zimy i chronią go od głodu.

Znowu więc podlatuje do okna i aż małe oczki iskrzą się i śmieją, aż ćwierka i szczebio cze radośnie, bo oto widzi, jak trójka dzieci porządnie i czysto ubrana idzie do stołowego pokoju, wita się serdecznie z rodzicami i braciszkiem, w końcu spokojnie i grzecznie zasiada do śniadania.

Tak zwykle upływa poranek u tych dzieci, co poranek białą następnie, czy już zawsze są grzeczne, jak się uczą i bawią, oraz czy mama, tatuś, albo panna Emma czytają im jak ładne bajeczki, o tem ptaszek obiecał nam opowiedzieć później.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Sklepienie tej groty, przypominało kopułę katedry, a tak było tam pięknie, że Melcia przejęta podziwem zawołała:

— Ach, co za wspaniały pałac! i przyszły jej myśl bajki o wrótkach i śpiących królewnach, zam-

szkujących cudne pałace, które czasami opowiadała matka.

— To pałac jakiejś dobrej wróżki — myślała dalej dziewczynka — przyprowadziła mnie aż tutaj, bo musi mieć w tem zamiary, o których dowiem się kiedyś.

Nie widząc wszakże żadnej pięknej pani z laską czarnoksiężką, Melcia zaczęła zwiedzać grootę, ziemię zaścieniał piasek jeszcze bielszy i delikatniejszy, jak ten co był na dziedzińcu.

— Ten pałac do mnie należy, bom go sama odkryła — powiedziała sobie Melcia. — Będzie to teraz mój własny dom... Dobrze szukając znajdę tu może kiedyś jaki skarb ukryty. Ale na teraz o skarbie nie było co myśleć, Melcia poczuła na głowie krople zimnej wody, a u nóg spostrzegła wydrążenia w skale do którego woda ta spadała. Zanurzyła rękę by się przekonać czy woda słona. Wcale nie, była słodką i czystą, z wydrążenia wązkim korytem sączyła się na dół i ginęła, ale gdzie — tego Melcia zupełnie dojść nie mogła.

Z podniesienia na którym stała, dojrzała morze, które teraz w czasie pełnego odpływu wydawało się bardzo oddalone; strumienie wody błyszczały tu i owdzie na piasku... niby dywan haftowany srebrem i złotem. Dziewczynkę uderzyła cisza panująca dokoła, nie śmiała odezwać się by jej nie przerwać.

Ale przyszło jej na myśl, że zbliżała się godzina przypływu i morze zamknie jej otwór, przez który się tu dostała, w takim razie będzie musiała pozostać uwięzioną przez długie godziny, narażając rodziców na przestrasznielny, mogliby przypuszczać, że utonęła. Trzeba było co najprędzej uciekać.

Zeszła ze schodów i raz jeszcze rzuciła spojrzenie w stronę groty, postanawiając, że nikomu o swem odkryciu nie powie, nawet Iwonkowi... Kto wie czy gdyby zdradziła tajemnicę, nie zniknąłby piękny pałac zaczarowany! Nie, nie, stanowczo nie powie ani słówka.

Nadszedł miesiąc marzec i ojciec bał się aby mu Melcia towarzyszyła. Marzec to miesiąc bardzo kapryśny, bardzo obfity w niebezpieczeństwa, rybacy wiedzą o tem, chociaż dla połowu puszczają się często na morze. Połów bo tam bywa bardzo obfity i w poście łatwo dobrze sprzedać rybę, a z drugiej znów strony przyzwyczajenie i odwaga, czynią ich często niebaczniymi. Morze to ich przyjaciół, ufają mu zupełnie, pociąga ich ku sobie, oni je kochają, walczą z niem, przeklinają czasami, ale gdy tylko okaże się łaskawsze, zapomną jego przewinień.

Jednego dnia rano, matka Melci rzekła do męża:

— Zdaje się, że pogoda dzisiaj niepewna, wiesz co Janie, zostań lepiej w domu, nie puszczaj się dziś na połów.

— Wypogodzi się później, a na jutro ryby bardzo potrzebne, będzie je można dobrze sprzedać — odparł, i pożegnawszy się z żoną i dziećmi, wraz ze swym pomocnikiem popłynął, obiecując powrócić wcześniej.

Jednakże niebo ani się myślało rozpogadzać, ciężkie chmury zbierały się coraz gęściej, jedne nad drugimi, w oddali łącząc się w jedną całość z powierzchnią morza.

Wiatr się zerwał, z każdą chwilą gwałtowniejszy, zmienił się wkrótce w prawdziwy huragan. Pocieszano się nadzieją, że rybacy są już w innej stronie.

Amelja niespokojna, poszła na wybrzeże, Melcia pobiegła za matką, w domu usiedzieć nie była wstanie.

Straszny widok przedstawił się ich oczom:

Szum, łoskot był ogłuszający, fale z wściekłością były jedne o drugie; gwałtowna siła burzy zmusiła matkę i dziecko do położenia się na piasku, inaczej wicher byłby je przewrócił. Patrzyły na pieniące się przed nimi góry bałwanów u wierzchu pokryte pianą, powtarzając sobie, że żadna łódź nie byłaby w stanie im się oprzeć, każda zginąć musi, ale może tam dalej na pełnym oceanie nie jest tak strasznie, jak tu około brzegów, i tam przynajmniej łódź nie rozbije się o skały. Deszcz zaczął padać, tak gęsty i ulewny, że i niebo zasłonił i morze. Kilkoro ludzi, którzy przyszli ze wsi i stali dotąd z Amelją i jej córką, chcieli odprowadzić obie do domu.

— Zabierzcie Melcię, ale mnie zostawcie tu jeszcze — prosiła nieszczęśliwa kobieta. Tliła w niej jeszcze isierka nadziei, że może przy świetle błyskawicy, zobaczy gdzieś w oddali morze spokojniejsze! Noc się zbliżała, a ona biedna widziała wkoło siebie coraz gorsze ciemności, słyszała coraz straszniejsze wycia wiatru. Ukłękła i wyciągnawszy ręce, wołała:

— Janie, mężu mój! Janie!

Wiedziała, że wołanie jej pozostanie bez odpowiedzi, próbowała się modlić, lecz co chwila przerywała modlitwę, by nawoływać jeszcze.

Melcia powróciwszy do domu, znalazła Iwonka uspiętego na ziemi. Zdjęła z siebie przemokłe ubranie, rozebrała braciszka i położyła go w łóżko. Długo zasnąć nie mogła, nasłuchując ciągle czy matka powraca, w końcu jednak znużenie przemogło i sen skleił jej powieki.

Obudziły ją promienie słoneczne, które nie pomne na burzę wczorajszą, świeciły dziś jasno i wesoło. Nie widząc rodziców, dziewczynka pobiegła czempędzej na wybrzeże, w miejscu gdzie wczoraj tyle godzin przebyła, zastała tam matkę leżącą bez czucia na ziemi. Zaczęła wołać, prosząc ją i zaklinając, by do niej przemówiła, próbowała ją podnieść, lecz nie mogąc sobie dać rady, pobiegła szukać pomocy. Gdy nieszczęśliwa Amelja odzyskała przytomność, była już u siebie i znowu zaczęła przywoływać męża, którego już nigdy ujrzyć nie miała!

Po wielu dniach gorączki, o tyle przyszła do siebie, że mogła zająć się domem. Lecz boleść po utracie męża i noc przebyta wśród burzy i deszczu, złamały ją zupełnie, nie mogła odzyskać sił straconych. Najbliższa jej sąsiadka, stara Aniela przychodziła od czasu do czasu pomagać Melci w doglądaniu matki. Lato przeszło jako tako, ale z nadejściem zimy zapasy się wyczerpały, a nie było już komu je odnowić. Sprzedano kubek srebrny i dwa także nakrycia, w końcu sieci, wyrzucone na brzeg przez morze. Wystarczyło to na czas jakiś. Ale choroba piersiowa rozwijała się coraz groźniej. Karczmarka, mniej litościwa od piekarza, odmówiła kawałka mięsa dla chorej, powtarzając z zaciętością:

— Trzeba było inaczej chować córkę, nie przyzwyczajając do próżniactwa, dziewczyna mogłaby zarabiać, gdyby umiała pracować.

Nadszedł wreszcie dzień w którym Aniela sprowadziła księdza proboszcza, ten nazajutrz przyszedł z Panem Bogiem do chorej, udzielił jej ostatnie namaszczenie, sta-

ra sąsiadka wyprowadziła dzieci z pokoju. Przywołała je po niedługim czasie, mówiąc:

— Ucałujcie mamę, moje biedne sierotki, już ona nie żyje!

Melcia, całując zimną twarz i ręce matki, widząc jej oczy zamknięte, pojęła, że nie zobaczy jej więcej.

Po pogrzebie brat i siostra, znaleźli się sami w alkie-rzu.

— Siedźcie tu sobie cicho, podczas uczty pogrzebowej — rzekła Aniela, przyniósłszy im mleka i chleba.

Słyszeli obok przez ścianę wiele osób, które do późnej nocy jadły, piły, rozmawiały, bynajmniej nie zasmucone. Iwonek zasnął, ale Melcia słysząc głos strasznej karczmarki, uchyliła drzwi cichutko. Słowa, które usłyszała, przejęły ją okropną trwogą.

— Dzieci są teraz zupełnymi żebrakami — mówiła karczmarka.

Człowiek jakiś, którego Melcia nie знаła, a który był podobno krewnym ich ojca, dodał:

— Dom się sprzedaje, ale z tych pieniędzy wyżyć nie będą w stanie.

Krewniak ten był blady, miał wyraz zimny, twardy i ostre brutalne ruchy. Kar zmarka ciągnęła dalej:

— Ja zabieram dziewczynę, a pan weźmie chłopca, każemy im ciężko pracować.

— Tylko niech pani jej nie bije, ona do tego nie przyzwyczajona — dodał zakrystyan, który też się między gośćmi znajdował.

— To się przyzwyczai.

— Iwonek taki jeszcze mały, niech pan go ochrania — mówiła znów Aniela do krewniaka.

— Musi chodzić, jak każe, inaczej niech się strzeże. Zabieram go z sobą jutro o dwunastej — odrzekł tenże.

(d. c. n.)

LAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Figlarka dla Wiochny z pod Wielunia.

Z następujących sylab: du—o—al—o—ro—ni—ka—dan—da—reus— ułożyć pięć wyrazów, których początko we litery utworzą nazwę rzeki we Francyi a końcowe jej dopływ. Znaczenie wyrazów: 1) Rzeka w Szwajcaryi. 2) Dopływ Wołgi. 3) Rzeka w Hiszpanii. 4) Dopływ Leny. 5) Dopływ Wisły.

METAGRAM.

Na m w zbożu sobie rosne,
Kwitnę w lecie i na wiosnę.
Na l listy pieczętuję,
Na t zgodę obiecuję,
Na r znasz mnie także dziatwo
I odgadniesz pewnie łatwo.

ZADANIE KONIKOWE.

Dla Bohdana od Sroczi.

Gdy	ko	wschód	gly	i	ru	i
swe	le	nie	o	na	kraj	kra
zgi	wo	char	nie	tam	cisz	po
roz	ko	to	*	to	u	o
łyń	nie	tam	ty	ko	o	rzu
nie	step	gra	ła	cisz	twar	cznej
wbez	skie	zwró	ty	ni	ny	bez

Skrzynka do listów.

Jadzi Oso..... w Ossolinie dziękujemy za pamięć która nas ucieszyła. Koszulkę dla biednych, odebraliśmy po gwiazdce, lecz przydała się bardzo na noworoczną kolęgę i dziecko które ją dostało, modlić się będzie za pomyślność Jadzi. Prosimy pisywać do nas i donosić nam co się najlepiej podoba w Wieczorach.

Dziękujemy ci serdecznie *Wróżbiarko Szczęścia* za wiernie dochowaną nam przyjaźń i serdeczne listu twego wyrazy. My tobie również, jak innym młodym czytelnikom *Wieczorów*, znowu rozpoczynającym się rokiem, zasyłamy życzenia wszelkiego dobra i łask wszelkich. Nie wątpimy, że życzenia nasza spełnią się skoro dziś już z pożytkiem dla bliźnich pracować umiesz, a spełnienie obowiązku uważasz za najgłówniejszy cel życia. Wdzięczni ci jesteśmy za udzielenie nam szczegółów o ciekawych zabytkach archeologicznych, odnalezionych przez uczonego badacza przeszłości.

Radzi jesteśmy, iż *Żabce* z nad *Kubania* podobają się *Wieczory* i że czytuje je razem z młodszymi siostrzyczkami; miło ponosić trudy i starania dla czytelników, którzy je ocenić umieją i w naszym piśmie pożytecznej szukają rozrywki.

„Redakcyja, Jaskółka i wszyscy pracownicy *Wieczorów*” dziękują za pamięć *Pliszce*, *Ołowi Marszałkowi*, *Iei* i *Maryni*, życząc im nawzajem, aby zdrowo i szczęśliwie wyrosli na mądrych i dobrych ludzi. Mnszą już teraz mieć rozum w główkach, skoro umieją być tak grzeczni dla drugich, jak dali nam tego dowody; odgadują też dobrze lamigłówki arytmetyczne. *Pliszkę* zawiadamiamy że „Dodatku” bez *Wieczorów* prenumerować nie można, boć przecież nie jest to oddzielne pismo, ale tylko dodatek.

Wielką uciechę spawiłaś *Wisienko* fartuszek uszytym na gwiazdkę dla biednej dziewczynki. Radość jej byłaby ci najmiłszą nagrodą za twoją pracę i zachętą w przyszłości do poświęcenia chwil wolnych, na korzyść i pożytek bliźnich.

Szanownej korespondentce, która pod mianem *Starej kwoczki* zwróciła się do *Jaskółki* z prośbą o przedłużenie prenumeraty *Wieczorów* donosimy, że sprawy tego rodzaju załatwiają się bezpośrednio w biurze redakcyi, która podobne życzenia stałych prenumeratorów swoich uwzględniać zwykła.